

„Swój do swego po swoje”? (Kilka uwag do tekstu Michała Pawła Markowskiego)

Tomasz Kunz

Tomasz KUNZ

„Swój do swego po swoje”? (Kilka uwag do tekstu Michała Pawła Markowskiego)

Wyjściowa teza tekstu Michała Pawła Markowskiego *Interpretacja i literatura*¹ – obwieszczająca „kres teorii literatury”, „klęskę teorii interpretacji i poetyki”, a więc i nieodwracalne fiasko „dotychczasowego modelu teorii literatury” – ma być czymś w rodzaju śmiałego aktu przekroczenia, który umożliwia wyjście poza metodologiczny impas, w którym znalazła się współczesna teoria literatury „uwikłana w beznadziejnie nierozstrzygalny dylemat” (teoria interpretacji albo poetyka). Owa „bardzo prosta” teza wydaje się jednak gestem o charakterze czysto retorycznym, gdyż w istocie stoi za nią pewna wiążąca presupozycja. Autor podkreśla bowiem, że swój sąd o zasadniczej zbędności teorii literatury formułuje „z punktu widzenia interpretatora literatury” i perspektywa ta determinuje całą logikę jego dalszego wywodu. Wspomniana presupozycja polega zaś na milczącej akceptacji szczególnych właściwości, którymi odznacza się ów „interpretator literatury”. Jest to mianowicie ktoś tożsamy z „użytkownikiem literatury”, a więc ktoś, kto z racji swoich specyficznych upodobań światopoglądowych ma prawo zdradzać zniechęcenie próżnością analitycznych procedur i metodologicznych dystynkcji stanowiących dorobek nowoczesnej teorii literatury. „Interpretatorem literatury” nie jest już na przykład ktoś, kto za pomocą narzędzi wypracowanych przez poetykę strukturalistyczną stara się ustalić pewne stabilne znaczenie tekstu, wierząc w istnienie procedur poprawnego czytania, gdyż w istocie nie dokonuje on rozumiejącej lektury pojedynczego dzieła, ale „interwencji analitycznej rekonstruującej poetykę danego pisarza”. Zwolennicy szkoły fenomenologicznej to jedynie „teoretycy szkoły interpretacji, których nie interesuje wcale literatura”, ale „stworzenie spójnej teorii, która udanie będzie konkurować z inną teorią”. Michał Paweł Markowski, który w punkcie wyjścia stawia się ostentacyjnie poza spo-

¹ M.P. Markowski *Interpretacja i literatura*, „Teksty Drugie” 2001 nr 5.

rem toczonym przez zwolenników rozmaitych „teorii interpretacji”, zarzucając im jałowość i przykry dogmatyzm, w gruncie rzeczy występuje jako rzecznik jednej ze stron (antyesencjalistów, nieskrępowanych użytkowników) i jej racje reprezentuje, choć ani myśli zaciągać się pod ich sztandary, nazbyt ceniąc sobie dobrodziejstwa swobodnej niesubordynacji. Zarzucając pragmatystom swego rodzaju ideologiczne zaciętrzewienie (skłonność do narzucania innym własnego „słownika finalnego”, wikłającą ich jakoby w wyniszczający i próżny spór z esencjalistami) w zgrabny sposób odcina się od kłopotliwego powinowactwa, choć na dobrą sprawę, gdyby nie ów militarystyczny wątek i wpisana weń wojowniczość – przypisywana pragmatystom, zwalczającym jakoby wszelkie przejawy esencjalistycznej egzegetyki – trudno byłoby wskazać jakieś zasadnicze różnice między neopragmatycznym pojmowaniem interpretacji a stanowiskiem prezentowanym przez Michała Pawła Markowskiego. (Wystarczy założyć – co nie wydaje się niemożliwe – że testem na pokojową otwartość pragmatysty jest umiejętność zachowania ironicznego dystansu zarówno wobec cudzych interpretacji, jak i wobec własnego, użytkowego – więc zawsze przygodnego – „słownika finalnego”).

Definicja interpretacji zaproponowana przez Michała Pawła Markowskiego („możliwość sformułowania dowolnej wypowiedzi na temat innej wypowiedzi, a także efekt tej operacji, czyli tekst, którego napisanie spowodowało istnienie innego tekstu”) dzięki swej pojemności zawiera w sobie praktycznie każdy rodzaj odczytań („zarówno tych najbardziej profesjonalnych, jak i tych najbardziej amatorskich”), unikając wikłania się w próżne dystynkcje i spory o granice interpretacyjnej swobody. Michał Paweł Markowski zwraca przy tym uwagę, że „lektury nieprofesjonalne zwiększają żywotność danego tekstu, poszerzając w maksymalny sposób jego użycia”. Rzecz w tym, że posługuje się on wymiennie tymi samymi określeniami dla nazwania dwóch różnych zjawisk. W efekcie okazuje się, że lektura amatorska/nieprofesjonalna to zarówno ta, która z premedytacją nie liczy się z wymogami literaturoznawczych strategii hermeneutycznych, jak i ta, która jest ich po prostu nieświadoma. Tymczasem na ogół bywa tak, że najciekawsze, godne uwagi „lektury nieprofesjonalne” (nie liczące się z normami czytania znawców) wychodzą spod piór zrewoltowanych, co prawda, ale jednak p r o f e s j o n a l i s t ó w. Lektury prawdziwie amatorskie (nawne), lektury „nieprofesjonalistów (którzy [...] nie wiedząc, co to jest parodia literacka, czytają *Lolite* jak afrodyzjak”) sprowadzają się zwykle do mimowolnego – wynikającego z niewiedzy – ignorowania konwencji, są więc na ogół dosłowne i oparte na stereotypach, a przez to bliźniaczo do siebie podobne i śmiertelnie nudne. „Żywotność”, którą mogą zapewnić tekstowi, przypomina raczej żywotność pokutującego upióra. To, że *Lolite* da się czytać jak afrodyzjak, a *Moskwę-Pietuszki* jak agitkę antyalkoholową – nie oznacza, że odczytania takie „zwiększają żywotność danego tekstu”. Istnieją bowiem użycia tekstów ewidentnie błędne i niedorzeczne (z pragmatyczno-ekonomicznego punktu widzenia). Kostka masła nie służy do wbijania gwoździ i z faktu, że ktoś użyje kostki masła (z sobie tylko wiadomych powodów) jako młotki, nie wynika, że oba użycia (obie interpretacje) są j a k o ś c i o w o r ó w n o w a ż n e. Oczywiście

Kunz „Swój do swego po swoje”?

nie mogę nikomu zabronić, by „użytkował” *Lolite* jak książkę z rodzaju tych, o których Boy powiadał, że czyta się je jedną ręką. Nie mogę też nikomu zabronić, by czytał *Ulyssesa* jak poradnik małżeński. Mogę jednak z całą pewnością stwierdzić, że nieszczęśnik ów włoży niewspółmiernie duży wysiłek (poniesie niewspółmiernie wysokie koszty) w stosunku do osiągniętych efektów (uzyskanej nagrody) *ergo* postąpi nieekonomicznie, użyje bowiem niewłaściwego narzędzia do niewłaściwego celu. Dalej czytamy:

Jeśli zgodzimy się z tym, że interpretacja jest strategią mniej (egzegeza) lub bardziej radykalnej (użycie) dekontekstualizacji, to między tymi dwoma dekontekstualizacyjnymi sposobami czytania nie sposób zaprowadzić wartościującej hierarchii. Z punktu widzenia skuteczności komunikacyjnej równie istotny jest użytek, jaki z tekstów Nietzschego zrobili Rosenberg, Lukács, Heidegger, Derrida czy Nehamas, gdyż wszyscy oni użyli Nietzschego do własnych celów. [...] Z pragmatycznego punktu widzenia wszyscy oni mieli rację, gdyż jedynym kryterium pozwalającym ocenić skuteczność przedsięwziętych przez nich interpretacji było przyzwolenie ich czytelników. [...] Fakt, że nikt już dziś interpretacji Rosenberga nie traktuje poważnie, świadczy nie o tym, że jest to zła interpretacja, ale o tym, że nie znajduje już ona dziś wystarczającej liczby czytelników, którzy by za nią stanęli. Nie ma więc złych i dobrych interpretacji (użyć) tekstu.

Nie sądzę, aby skuteczność i przyzwolenie społeczne miały być jedynymi kryteriami „oceny” interpretacji, i nie sądzę też, abyśmy musieli składać to zdroworozsądkowe przeświadczenie na ołtarzu pragmatycznej logiki. Nie mogę więc zgodzić się z głoszoną przez Michała Pawła Markowskiego tezą o *a b s o l u t n e j* wartości wolności słowa (obejmującej nie tylko sferę samej literatury, lecz także jej interpretacji), która jako dobro najwyższe nie powinna być w żaden sposób powściągana czy nadzorowana. Uważam bowiem, że instytucje działające na mocy praw będących efektem umowy społecznej powinny dysponować środkami pozwalającymi chronić społeczeństwo przed szczególnie drastycznymi przejawami nadużywania wolności wypowiedzi, gdyż nie jest obojętne, jaki użytek czynimy z czytanych przez nas tekstów i jakim celom służą tworzone przez nas interpretacje. Dlatego właśnie twierdzą, że rasistowska interpretacja Rosenberga *j e s t z ł a*, czy raczej – *j e s t z ł e m* i że także w tym (dwuznacznym) sensie istnieją „złe i dobre interpretacje (użycia) tekstu”. Jest to już jednak osobna kwestia związana z komponentem etycznym, wpisanym w pojęcie wolności (w tym również wolności słowa). A że nie daje się ona łatwo pominąć, potwierdza mimo woli sam Michał Paweł Markowski pisząc: „literatura to sfera swobodnego mówienia (nawet graniczącego z bluźnierstwem)”. Instynkt moralny domagający się postawienia *g r a n i c y* bluźnierstwu staje tu w sprzeczności z deklaracją, wedle której literatura ma być „sferą wypowiedzi [...] niepodatną na *j a k i e k o l w i e k* obstrzeżenia i konwenanse”, gdzie panować powinna „zasada nieograniczonej wolności”. Zgadza się więc z poglądem Andrzeja Szahaja, który – głosząc daleko posuniętą swobodę interpretacyjnych poczynań – przypominał zarazem, że „niektóre interpretacje niektórych tekstów mogą być haniebne w sensie etycznym”, dlatego też

„choć dziś wolno znacznie więcej niż kiedykolwiek wolno było w przeszłości, to jednak nie wszystko wolno”^{2/}.

„Jak możemy czytać (interpretować) literaturę?” – pyta Michał Paweł Markowski. I odpowiada: „na dwa, niewspółmierne sposoby”. Niewspółmierne i, dodajmy, całkowicie – z racji ich nieuzgadnialności – równoprawne sposoby. Egzegeta czyta literaturę, traktując ją jako autonomiczne terytorium rządzące się swoimi prawami; użytkownik – przeciwnie, traktuje teksty literackie „jak składniki rzeczywistości, pozwalające zbudować odpowiadający mu świat”. Pierwsze stanowisko ilustruje w zasadzie tradycyjne podejście literaturoznawcy do starannie wyodrębnionego przedmiotu badań, drugie bliskie jest dekonstrukcjonistycznej koncepcji rzeczywistości jako swoistego „tekstu” (*archi-écriture*), którego tekst pisany (*écriture*) jest po prostu częścią. Obie strategie lektury są równoważące, ponieważ „nie dysponujemy zewnętrznymi wobec nich kryteriami oceny”, nie mamy możliwości „spojrzenia znikąd”, które pozwalałoby na obiektywne oszacowanie ich wartości i ustalenie hierarchii. Czy zatem tak rozumianej praktyce interpretacyjnej można wytyczyć jakieś racjonalne granice? Nie, gdyż niczym niezdeteminowany, całkowicie wolny wybór strategii lektury oznacza, że „interpretacja jest praktyką nieograniczenie swobodną”, że „interpretacja to sfera absolutnej swobody”. Okazuje się jednak, że „absolutnej swobodzie po stronie interpretacji [...] odpowiada swoboda innego rodzaju, tym razem powiązana z samą literaturą”, co więcej, że właśnie literatura jest instytucją gwarantującą całkowitą swobodę interpretacji. Jak w takim razie Michał Paweł Markowski definiuje literaturę?

Z wielu najróżniejszych definicji literatury, z których każda jest uwikłana w metodologię prezentowaną przez jej autora, najbliższa mi (proszę zauważyć, że nie mówię n a j - t r a f n i e j s z a) jest definicja, jaką sformułował przy jakiejś okazji Derrida. Powiada on mianowicie, że literatura to instytucja zapewniająca powiedzenie wszystkiego na wszystkie możliwe sposoby.

Interesuje mnie tu szczególnie ów niewinny z pozoru zwrot „przy jakiejś okazji”, świadomie bagatelizujący lub też zacierający źródło cytatu (nie wydaje się bowiem możliwe, by tak doskonały „egzegeta” i tłumacz pism Derridy nie pamiętał, gdzie „przy jakiej okazji” francuski filozof sformułował ową definicję). Skoro tak, to być może towarzyszący jej kontekst i komentarz domagały się pominięcia? Ponieważ jednak „każda” definicja „jest uwikłana w metodologię prezentowaną przez jej autora”, nie ma powodu, by tym razem owe fakty pomijać milczeniem. Przypomnijmy zatem, że definicja ta pada w rozmowie z Derekiem Attridge’em, zatytułowanej *Ta dziwna instytucja zwana literaturą*, tekście kluczowym dla zrozumienia znaczenia, w jakim Derrida używa pojęcia „literatura”. Autor *Glas* wypowiada owo zdanie, wspominając swoją młodzieńczą fascynację potencjalnością drzemiącą w tekstach, które „nie były ani filozoficzne, ani literackie”.

^{2/} A. Szahaj *Granice anarchizmu interpretacyjnego*, „Teksty Drugie” 1997 nr 6, s. 24.

Kunz „Swój do swego po swoje”?

W naiwnych młodzieńczych notatkach lub raptularzach, do których sięgam pamięcią, obsesja form proteuszowych wzbudzała we mnie zainteresowanie literaturą do tego stopnia, że literatura w niejasny sposób wydawała mi się instytucją, która umożliwia każdemu powiedzenie wszystkiego w dowolny sposób.³

Nieco dalej wspomina jeszcze o poczuciu „de z o r i e n t a c j i” w obliczu instytucji lub rodzaju przedmiotu, który pozwala każdemu powiedzieć wszystko⁴. Dlaczego to takie istotne? Otóż dlatego, że sens tej definicji – będącej rodzajem wyzwania, „dezorientującej”, „niejasnej” intuicji – odsłania się dopiero przy uwzględnieniu szeregu zastrzeżeń i dopowiedzeń, z których wagi mało kto zdaje sobie sprawę równie dobrze, jak autor *Efektu inskrypcji*. Na zarzut, że Michał Paweł Markowski po prostu posłużył się na swój własny, odpowiadający mu akurat sposób „najbliższą” mu z definicji literatury, odpowiem, że „zdekontekstualizował” on wypowiedź dyskursywną, nie literacką – chyba, że wspomnianą rozmowę Derridy z Attridge’em również uznamy za wypowiedź mieszczącą się „w polu literatury”. Zabieg ten uchyliłby jednak wszelką możliwość polemiki, a wierzę, że naszym celem nie powinno być w y ł ą c z n i e zapewnienie sobie możliwości „powiedzenia wszystkiego na wszystkie możliwe sposoby”. Zastrzeżenia i dopowiedzenia, o których wcześniej wspomniałem, dotyczą – mówiąc najogólniej – socjo-prawnego (nade wszystko) rozumienia owej instytucjonalnej gwarancji „powiedzenia wszystkiego «z zasady» udzielonej literaturze”⁵. Rzecz w tym jednak, by udzielić odpowiedzi na pytanie, jak to się dzieje, że nie wszystko j e s t literaturą, skoro wszystko potencjalnie może s t a ć s i ę tekstem literackim. Otóż w fakcie tym ujawnia się „zdarzeniowy” charakter literatury, a zarazem jej paradoksalny instytucjonalno-idiomatyczny charakter. Literatura umożliwia powiedzenie wszystkiego na każdy możliwy sposób, umożliwia swobodny gest mówienia (aspekt idiomatyczny), ale zarazem czyni z literackości pewną historycznie, konwencjonalnie uwarunkowaną funkcję lektury „zawieszającej «tetyczną» naiwność lektury transcendentnej” (aspekt instytucjonalny)⁶. Dlaczego o tym wspominam? Dlatego, że bez owego uzupełnienia nie bardzo wiadomo, jakie to „reguły”, „konwencje” i „determinanty” obowiązujące literaturę może mieć na myśli Michał Paweł Markowski, gdy pisze:

Jeśli powiadam, że literatura pozwala powiedzieć wszystko, to oczywiście nie chce przez to powiedzieć, że nie obowiązują jej żadne konwencje i że owa wolność jest całkowicie niezdeterminowana. Wręcz przeciwnie, reguły takie istnieją i to one właśnie umożliwiają literaturze swobodę kreacji.

^{3/} *Ta dziwna instytucja zwana literaturą. (Z Jacques’em Derridą rozmawia Derek Attridge)*, przet. M.P. Markowski, w: *Dekonstrukcja w badaniach literackich*, red. R. Nycz, Gdańsk 2000, s. 20. (podkr. T.K.)

^{4/} Tamże, s. 21.

^{5/} Tamże, s. 27.

^{6/} Tamże, s. 34.

Stąd moje wyjściowe zastrzeżenie dotyczące nazbyt może „niekonfliktowej dekontekstualizacji” definicji Derridy. Gdy bowiem użyć ją zgodnie z instrukcją obsługi podaną przez Derridę i wyłożoną (egzegetycznie) przez Michała Pawła Markowskiego w *Efekcie inskrypcji* okaże się, że literatura nie może wcale „z zasady” i niejako *per analogiam* zapewniać interpretacji „absolutnej swobody”, bo sama ową absolutną swobodą dysponuje jedynie w ramach „konwencjonalnej i instytucjonalnej przestrzeni”⁷.

Podwójne idiomatyczno-instytucjonalne związanie gwarantujące literaturze jedynie potencjalną pełnię swobody dotyczy także interpretacji. Co oznacza mniej więcej tyle, że jak to „przy jakiejś okazji” powiedział Derrida: „Nikt nie jest tak wolny, by mógł czytać, jak chce”... Michał Paweł Markowski, mimo całej brawury swego wywodu, zastrzega sobie jednak możliwość (zdroworozsądkowego?) wyrokowania o dopuszczalnych granicach interpretacyjnej logorei, pisząc:

Nie twierdzą, że teraz należy o literaturze mówić wszystko, co ślina na język przyniesie (tego pierwszy bym nie wytrzymał), twierdzą jednak, że nie można tego ryzyka z góry eliminować.

Czy zdanie to oznacza, że jedynym, „płynnym” kryterium (nie istnieją wszak „twarde» kryteria rozstrzygające, jak należy czytać teksty”) pozwalającym na powrót do swojskiego gestu wykluczenia miałyby być nasza indywidualna „wytrzymałość” i „odporność” na stężenie bredni? I jaki rodzaj praktycznych konsekwencji projektuje owa śmiała deklaracja („tego pierwszy bym nie wytrzymał”)? Bierny, nacechowany posępną desperacją i bezsilnym zaniechaniem, czy przeciwnie – aktywny, pobudzający do zdecydowanej retorsji i miażdżącego kontrnatarcia? Pytam o to mając na uwadze ów szczególnie kontekst związany z działalnością akademicką i wynikające z niego zobowiązanie do udzielenia odpowiedzi na „konieczności instytucjonalne”, o których wspomina pod koniec swojego tekstu Michał Paweł Markowski. Pół biedy bowiem, gdy nieoczywisty wszak postulat całkowicie nieskrępowanego użytkowania tekstu bierze sobie do serca ktoś, kto na własną odpowiedzialność, „pozainstytucjonalnie” „formuluje dowolną wypowiedź na temat innej wypowiedzi”, a następnie „efekt tej operacji, czyli tekst, którego napisanie spowodowało istnienie innego tekstu” wysyła na własny koszt do redakcji któregoś z niskonakładowych czasopism, wiedziony chęcią sprawdzenia jego „perswazyjno-demagogicznej” mocy. Ryzykuje co najwyżej, że „nikt [jego] interpretacji nie potraktuje poważnie”, bądź też, że nie znajdzie „wystarczającej liczby czytelników, którzy by za nią stanęli”. Zgoła inaczej ma się rzecz w przypadku studenta, który wiedziony nieokiełznaną wyobraźnią zacznie w ramach seminaryjnych zatrudnień wygadywać/wypisywać banialuki, powołując się na swoje prawo do nieskrępowanej swobody używania tekstu. Czy podstawowym celem studiów literaturoznawczych nie powinno być poznanie metod czytania, umożliwiających maksymalnie wszechstronne obcowanie z tekstem, które bez zrozumienia funkcjonowa-

⁷: Tamże, s. 35.

Kunz „Swoj do swego po swoje”?

nia semiotycznych mechanizmów literatury wydaje się niemożliwe? I czy obowiązkiem nauczyciela akademickiego nie jest zapoznanie studenta z tradycyjnymi procedurami i normami czytania (znawców), a tym samym umożliwienie mu faktycznego wyboru własnej strategii, wyboru przed którym stanąć mogą jedynie obeznani z teorią literatury profesjoniści, bo tylko oni dysponują pełnym *menu*. I choć wewnętrzna integralność nie może być ani instytucjonalnym wymogiem, ani wymiernym kryterium oceny, nie potrafię sobie wyobrazić, jak można uczyć w dobrej wierze strategii profesjonalnej lektury w ich klasycznym fenomenologiczno-strukturalistycznym wydaniu, jeśli jest się tak mocno przeświadczonym o ich szkodliwym („metodologiczna psychoza”) i opresywnym („tyrania tekstu”) oddziaływaniu odzierającym kontakt z literaturą z „prywatności i intymności”...

POSTSCRIPTUM

Jednak bardziej niż lekceważenie realnej wiedzy uniwersyteckiej [...] zawsze niepokoiło mnie to, że osoby, które zyskały wybitną pozycję zawodową dzięki ożywionym debatom z innymi przedstawicielami jakiejś dyscypliny akademickiej, takiej jak filozofia czy badania literackie, dzięki rozpoznaniu trudności i niespójności w koncepcji danej dyscypliny, którą proponowali starsi koledzy, a następnie sformułowaniu odmiennych procedur i celów, [...] wykonywały nagły zwrot i odrzucały samą ideę systemu procedur i składnicy wiedzy, w ramach których możliwa jest argumentacja, po czym przedstawiały daną dyscyplinę jako zbiorowisko ludzi, którzy czytają książki i usiłują o nich powiedzieć coś ciekawego. Tym sposobem systematycznie burzą struktury, dzięki którym osiągnęły swą pozycję, a przez które mogliby tej pozycji zagrozić ich następcy.

To już naturalnie nie ja. To Jonathan Culler.